XXIV Kraków. 1 grudnia 1921 r. Nr. 23



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 456 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

Numer pojedynczy 80 Marek. Redaktor: K. Krumlowski. Numer pojedynczy 80 Marek.

— Bój się Boga Zosiu nie pal tyle papierosów, bo przydymisz małemu mleko!



Litania „Głosu Narodu“

dla użytku Stróżów katolickich, ułożył „Ilustrowany Kuryer Codzienny“.

Cap rozpustny był ksiądz Szponder
Ksiądz Minkiński — patron flonder,
Ksiądz Stysiński — ogier krewki
Także bardzo lubiał dziewki.
Stojałowski wsławił imię
Lampą swą w Jerozolimie.
Onyszkiewicz na okrasę
Okradł cudnie miejską kasę,
Smółka, był znów innym wzorem
Szpiegiem i prowokatorem.
Kradł Horowicz, co się zdarzy
W Syndykacie Dziennikarzy!
Był i innych jeszcze szereg,
Jak zapewnia nas „Kuryerek“.

Swiat na opak.

Zmarznięty żebrak pod kościołem: Biedny nadradca sądowy prosi o datek miłosierdzia!

Petent starszy człowiek w letniej zarzutce, w ręku obtargany kapelusz słomiany: Panie mecenasie! słyszałem, że w biurze pańskiem wakuje miejsce pisarza!... Mam wprawdzie małe uboczne zajęcie...

Adwokat: A czem pan jesteś?

Petent: Jestem starym niedołężnym dyrektorem policyi!...

Na świętego Mikołaja.

Wieczorem, w przeddzień uroczystości świętego Mikołaja, między dwoma przyjaciółmi, zajmującymi pokoik na trzeciem piętrze, toczy się następująca rozmowa:

— Ciekawy jestem, czy też św. Mikołaj tego roku o nas nie zapomni... Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybym obudziwszy się jutro rano, znalazł obok siebie w łóżku parę ładnych damskich pończoszek...

— Zapewne chciałbyś z nich zrobić prezent komuś?

— Ani mi się śni!..

— Cóż ci w takim razie z damskich pończoch?

— Mnie też o same pończochy nie chodzi, lecz o to, co się w nich zwykle mieści, a jeszcze bardziej o to, co jest między niemi...



Także „familia“.

Pani Wojciechowa z panią Maciejową rozmawiały na ulicy, gdy obok nich przesunęła się jakaś poważna matrona. Ujrzawszy ją, powitała ją pani Maciejowa głębokim ukłonem i słowami:

— Całuję rączki pani hrabinie dobrodziejce...

— To pani zna panią hrabinę?... — zapytała pani Wojciechowa.

A pani Maciejowa, nastroiwszy poważną minę, odrzekła z dumą:

— Tak, moja pani!... To nawet familia... Moja Mania była u niej za pokojówkę, zanim dostała się za mamkę do jej najstarszej córki... Młody hrabia chciał się nawet z Manią żenić, ale ja nie byłam za tem, bo to, widzi kochana pani nie podobało się mojemu nieboszczykowi świeć Panie nad jego duszą i daj mu tam wieczne spoczywanie, bo go nie miał za życia, który był demokratą i z hrabiami nie chciał wchodzić w bliższe stosunki...





Chłopczyki giną!

Dzieje się w naszem
Mieście nieświetnie.
Giną chłopczyki
Te — pełnoletnie.

Szukają chłopców,
Z policyi ciury,
A gdy ich znajdą
Pchają do dziury.

Za co? Za głupstwo!
Mój Boże miły!
Bo się chłopczyki
Paskiem bawiły!

Niech ma naukę
Niejeden śmiałek:
Zniknął przyjemny
Chłopczyk Niedziałek.

Dobre to dziecko,
Niewątpim wcale,
Znajdzie się wkrótce,
Lecz — w kryminale.

Kaktus Kobierzyński

SMUTNA HISTORYA
o wesołym końcu pana Filokteta

(Tematu dalsze wyłożenie i zgwałcenie).

Działo się to w roku 19.., gdy Kraków, mając wbity „nuż w bżuh“, znajdował się w poważnym stanie, oczekując rozpoczęcia się śmietankowo sielankowej ery, zapowiadanych wielkim rykiem różnych dadaistów, ekspresyonistów, formistów, kubistów i innych onanistów.

Nic sobie z tego wszystkiego nie robiąc i gwizdając pod nosem z rezygnacyą tę samą melodyę, którą nucił Napoleon na Helenie, dążył pan Filoktet w towarzystwie członka męskiego policyi, zorganizowanej na sposób angielski, zatem stale zaflegmionej, na inspekcyę, która mieściła się na wieży Maryckiej, aby władza tem łatwiej miała cały Kraków pod okiem i nic nie uszło jej baczenia. Aby się tam dostać, trzeba było najpierw wyjść na strych, a stamtąd na dach byłego Hotelu Drezdeńskiego, skąd wystarczał zaledwie jeden skok, aby przez okienko wieży, służącej niegdyś do spuszczania beczki z nieczystościami, a dziś przeznaczone do ogólnego użytku, dostawało się do lokalu inspekcyjnego. W tym celu urządzoną była na dachu odskocznia, z której można było skorzystać za opłatą, składaną dzień poprzód w kasie zamawiań biletów teatralnych. Osoby ubogie, posiadające urzędowo stwierdzone świadectwo niezamożności, miały prawo korzystania z ulg w opłacie, ci zaś, którzy z odskoczni nie korzystali, nie byli zobowiązani do składania wogóle żadnych opłat, o ile sami nie czynili tego dobrowolnie, uważając to za spełnienie swych obywatelskich obowiązków i świadczenia na korzyść skarbu państwowego, dotąd jeszcze śpiewającego bardzo cienkim głosem.

Pan Filoktet wraz z swym aniołem stróżem znalaziszy się na środku pokoju inspekcyjnego, gdzie obaj, skutkiem wzięcia zbyt wielkiego rozmachu, przysiadli, w pierwszym rzędzie podziękowali obaj matce naturze, że w tej części ciała, która przy wsiadaniu wchodzi w bezpośrednią styczność z podłogą, nie dała im wystających kości, co uchroniło ich od niewątpliwego kalectwa. Pozbierawszy rozrzucone po ziemi swe członki i rozglądnąwszy się wokoło, przekonali się, że w lokalu nie było nikogo. Po chwili dopiero ujrzeli na wbitym w ścianie haku wiszący płaszcz, a w nim ciało ludzkie, które, wieszając swe okrycie, zapomniało je widocznie opuścić. Gdy mu na to zwrócili uwagę, podziękowało, również z angielskim spokojem. Był to wywiadowca brygady śledczej, przeznaczony do towarzyszenia urzędnikowi inspekcyjnemu. Od niego dowiedzieli się, że komisarz, który jest lunatykiem, spaceruje obecnie po dachu kościelnym, a wołać go nie można, aby się przypadkiem nie obudził i nie spadł na chodnik uliczny, mógłby bowiem łatwo uszkodzić starożytne łańcuchy, otaczające kościół.

Na uwagę pana Filokteta, że mamy obecnie nów, a nie pełnię, wobec czego dziwnem jest to wystąpienie objawów lunatyzmu, oświadczył wywiadowca, że rodzina komisarza pochodzi z Ameryki, a on ulega wpływom tamtejszego księżyca, nie naszego. Celem zabicia czasu i skrócenia sobie oczekiwania, rozpoczęli zabawę w „kotka i myszkę“.

Po czterogodzinnem oczekiwaniu zjawił się komisarz inspekcyjny i zająwszy się przedewszystkiem spisaniem odniesionych wrażeń, co zajęło mu znowu trzy godziny (prowadził dokładny pamiętnik wydarzeń dnia i nocy), zapytał przedewszystkiem z angielską uprzejmością, jak się bawiono, a następnie, co szanownych gości sprowadza w jego wysokie progi.

Gdy posterunkowy złożył raport piękną klasyczną polszczyzną, przeplataną tu i ówdzie cytatami różnych mędrców i wyjątkami z poezyi Cielątkiewicza i fejletonów Straszaka, komisarz zrobił poważną minę i po półgodzinnem, na kilkaset metrów głębokiem myśleniu, rzekł do siebie krótkie, ale wiele do myślenia dające: „Hm!...“

A potem, zebrawszy widać myśli, które rozpierzchły się niczem stado gołębi, gdy ujrzy skradającego się ku niemu kota, odezwał się urzędowym tonem:

— Zatem jesteś pan oskarżony przedewszystkiem o wywołanie zbiegowiska przez wyskoczenie z okna, co dało powód do odbycia całego szeregu nielegalnych wieców, na których poddawano krytyce zarządzenia władz, następnie o zanieczyszczenie miejsc publicznych, czego dowodem pozostawiona przez pana na miejscu wypadku proteza, dołączona do aktów...

W tej chwili, rzuciwszy okiem na pana Filokteta i przekonawszy się, że ma dwie zupełnie normalne nogi, zawołał komisarz ze zdziwieniem:

— Jakto?... Pan chodzi na dwu nogach?

— Do usług pana komisarza! — odpowiedział zagadnięty. — Zazwyczaj na dwóch, choć, gdy mi która z nich ścierpnie lub jestem w dobrem usposobieniu, podskakuję na jednej, w wyjątkowych zaś wypadkach, nie mogąc utrzymać równowagi tak cielesnej, jak i duchowej, chodzę czasem i na czterech...

— Zachodzi zatem podejrzenie, że pan nie jest Filoktetem, który się zabił na miejscu, tamten bowiem, jak stwierdzają akta i dołączona do nich proteza prawej nogi, posiadał tylko jedną nogę...

— Brakująca noga, panie komisarzu, odrosła mi dzisiaj bezpośrednio po nieszczęśliwym wypadku, który mnie życia pozbawił...

— Pańskie słowa wydają się mi być do wiary nie podobne... To komplikuje jeszcze bardziej sprawę, ponieważ zaś jesteś pan ponadto oskarżony o dokonanie zamachu stanu na latarnię miejską, która, choć się nie świeciła, ale miała rozpraszać ciemności uliczne i to przy użyciu kamienia, spadłego panu, jak pan twierdzi, z serca, co również sprzeciwia się zasadom medycyny sądowej, powinienbym pana ka-

„Głos Narodu", a poseł Dąbrowski.

Chrześcijański organ stróża
„Głos Narodu" — się oburza,
Że Dąbrowski posłem w Sejmie!...
Niech „Głos" pychę z serca zdejmie,
Bo dowody oczywiste,
Że „Głos" sam układał listę,
W którym zgodził się bez szwanku
Pan Mianowski przy Maryanku!
Dziś go „Głos" nazywa oto:
Gorszycielem i idyotą!...
Mniejsza o kwalifikacye,
Może „Głos" ma nawet racyę,
I nie pójdziem z nim na kopie,
Mając swój sąd o tym chłopie.
Lecz pytamy „Głos Narodu",
Z jakich przyczyn i powodu
Gniew bezsilny na nim krupi?
Dawniej mądry — dziś jest głupi
Dawniej zacny jak anieli,
A dziś gorszy w „Bagateli"?
Niech wyjaśni cel pogróżek
Organ katolickich stróżek!

Z podróży na Gaurizankar.

Jak wiadomo, ekspedycyi naukowej angielskiej udało się wynaleźć drogę na niedostępny dotąd szczyt *Mout Everest* (Gaurizankar) w Himalajach.

Z doniesień *Kuryerka*, m jącego i tam swego specyalnego korespondenta, wynika, że turyści angielscy wpadli tam, jak się zdaje, nie w przepaść, lecz na ślad przedhistorycznego człowieka.

Oto na samym prawie szczycie pod ścianą skalną, w zacisznem ustroniu, gdzie się nie jest narażonym na działanie wiatrów, znaleziono ślady, stwierdzające niezbicie, że już przedtem był tu kt ś... Pozostawione przezeń ślady, pozwalają wnosić, że był to człowiek, odżywiający się normalnie i to głównie potrawami roślinnemi, silnej budowy ciała, a także i obdarzony wysoką kulturą, na co wskazuje znaleziony obok kawałek zadrukowanej kartki, w nieznanym nam języku, którą uczeni uznali jako kawałek popularnego pisma codziennego, wydawanego mniejwięcej na trzy tysiące lat przed stworzeniem świata.



Nowy przyjaciel domu.

Pani Marya przyjmuje po raz pierwszy u siebie pana Karola, o którym sądzi prawie na pewne, że zajmie miejsce przyjaciela domu, które właśnie wakowało. Pan domu odszedł tymchasem do swego pokoju, a po dobrej chwili doszło rozmawiającą czule parę głośne chrapanie męża...

— Ot! widzisz pan! — rzecze młoda mężatka z bólem w głosie — takie to moje szczęście! Ledwie się położył — już chrapie!

— O! pani dobrodziejko — odpowiada na to facet, przyciskając ją silnie do serca — słyszałem o mężu pani, że jest bardzo gościnny, ale to, co obecnie widzę, przechodzi nawet moje najśmielsze marzenia!...

Do równego podziału.

Kochankę mam, że drugiej
Nie znajdziesz w świecie ponoć,
A główna jej zaleta,
Że jest innego żoną!

Lecz bywać u niej w domu
Byłoby nierozumnie —
By ustrzedz się podejrzeń
To ona — bywa u mnie.

Kochanko! Twem uczuciem
Jak jasną gwiazdą świeć mi!
Obdarzaj mnie miłością,
A męża swego dziećmi!

Do Gołębia!

Chrześciańsko-socy'ini zabrali prezesowi stróżów książkę członków (4000) i twierdząc, że to są ludzie z ich partyi wyudzili dla siebie 4 mandaty radzieckie.
(I. Kuryer Codz. 26/XI. 1921).

Gołębiu co byłeś
Stróżem twego gniazda
Nieszczęśliwa tobie
Snać świeciła gwiazda!

Bo potomstwo twoje
Porwał Chadek zdrajca
Pocóżeś Gołębiu
Wysiadywał jajca?

Mogłeś jako rajca,
Siedzieć w Magistracie,
A tak musisz z miotłą
Stróżować mój bracie.

Po twoich to plecach
Wspiął się chytry Chadek
I teraz ci drwiąco
Pokazuje... figę!...

Ty — strugał przy bramie!
A on miejski rajca
Gołębiu! Gołębiu!
Pocoś nosił jajca?



zać zamknąć w aresztach „pod Telegrafem" aż do wyświetlenia sprawy, co może nastąpić mniejwięcej w przeciągu dwu lat...

— Właśnie o to mi się rozchodzi, gdyż nie mam dachu nad głową, na płacenie po tysiąc marek za pokój hotelowy mnie nie stać, chętnie zatem „pod Telegrafem", gdzie obecnie spotkać się można z bardzo przyjemnem towarzystwem, przeczekałbym, dopóki mieszkania nie potanieją...

— To się jednak nie stanie, ponieważ pan wykazałeś się papierami, że jesteś Filoktetem, a znajdujące się w mem ręku orzeczenie komisyi sądowo-lekarskiej stwierdza najwyraźniej, że pan już nie żyje. Nieboszczyka nie wolno mi zaś przetrzymywać w areszcie!...

— Ależ ja żyję, jak się pan o tem może namacalnie przekonać!

— To się panu tylko tak wydaje!... Dla mnie świętem jest to, co powiadają akta, oparte na zeznaniach wiarogodnych świadków... Jeżeś pan nieboszczykiem i chyba co innego wykaże sekcya sądowa, k órą się ju ro przeprowadzi na pańskich zwłokach... Ile to jednak będzie niepotrzebnej pisaniny, gdyż doniesienie opiewa, że pańskie ciało rozprysło się w tak drobne cząstki, iż w pyle ulicznym nie było się można ich doszukać... Ju ro zatem dowie się pan urzędowo, czy pan żyje, czy nie...

Gwizdnął, z szumem nadleciał aeroplan-trupiarka, pana Filokteta przemocą wpakowano do trumny i przewieziono do Zakładu medycyny sądowej na Grzegórzkach.

Tutaj służący, którego wyciągnięto z pod ciepłej pierzyny, przyjął go bardzo chłodno i ulokował w lodowni, wyrażając zdziwienie, że po raz pierwszy w ciągu swej długoletniej praktyki lekarskiej ma do czynienia z nieboszczykiem, który sam chodzi i można z nim rozmawiać. Dotąd bowiem mówił nieraz do swych pacyentów, ale oni nigdy na to nie odpowiadali.

Pana Filokteta pożegnał słowami:

— Nie będzie się panu przykrzyć, ma pan bowiem towarzystwo. Jest tam kobieta, którą wyłowiono dzisiaj z Wisły po dwumiesięcznej kąpieli i wisielak, który miał czas zupełnie skruszeć, wisząc na strychu całe trzy tygodnie...

— Nie tyle widzę, ile czuję ich obecność — odpowiedział pan Filoktet i kichnął, na co grzeczny dozorca powiedział mu „Na zdrowie!" — a potem, życząc dobrej nocy, zamknął i odszedł.

Teraz pan Filoktet zaczynał już wierzyć, że jest nieboszczykiem i już z góry wyobrażał sobie, jakie go czekają przyjemności nazajutrz na stole sekcyjnym, zwłaszcza, że cierpiał na łaskotki w okolicy pępka, którędy lekarze zaglądają do wnętrza brzucha. Kręcąc się po swem przymusowem więzieniu po omacku, zgubił bowiem gdzieś w drodze zapałki, natrafił szczęściem na windę, służącą do transportu zwłok do sali sekcyjnej, znajdującej się na parterze i przy jej pomocy dostał się tamże z łatwością. Tutaj na ławce doczekał rana, a gdy się rozwidniło, przez okno opuścił lokal, wyobrażając sobie zdziwienie wszystkich, gdy się dowiedzą o ucieczce nieboszczyka przed sekcyą.

Powietrze było czyste i przyjemne, usiadł zatem na ławeczce na plantach i pogrążył się w rozmyślaniach nad swym losem i swą przyszłością, chcąc się doczekać porannych wydań dzienników, z których mógłby się dowiedzieć najpewniej, co się z nim stało.

Pierwszy pojawił się *Waryat Codzienny*, a chłopcy roznoszący go, choć nikogo nie było na ulicach, darli się w niebogłosy:

— Straszny wypadek!... Samobójstwo przez skok z trzeciego piętra!... Tajemnicze zniknięcie zwłok nieboszczyka!... Uniwersytet zamawia protezy głów, jako sporządzonych z trwalszego materyału dla swych niektórych młodszych docentów!...

Kupił numer, oddał się z nabożeństwem lekturze i teraz dopiero rozjaśniło mu się w głowie, dowiedział się bowiem o sobie samym nawet tego, czego dotąd nie wiedział. To rozjaśnienie trwało jednak niedługo, po pojawieniu się bowiem *Nowej Trąby* przekonał się, że było nupełnie inaczej. Aby zatem dojść do źródła prawdy, należało poczekać na ukazanie się któregoś z najpoważniejszych organów naszej prasy, jak *Starego Arystokraty* lub *Wrzasku zbolałej duszy*. Skąd, jak skąd, ale z nich dowie się chyba prawdy.

Czekał zatem ciekawy, pogwizdując, jak na nieboszczyka przystało, żałobnego marsza i akompaniując sobie kiwaniem palcem w bucie, gdy tymczasem po głowie chodziły mu przeżycia ostatniego wieczora, nad głową zaś krakały gawrony, z których jeden, przy załatwieniu zwykłych porannych czynności, dopuścił się pewnej niedyskrecyi, a ta spadła na sam wierzch jego kapelusza, tworząc na nim coś w kształcie gałki chońskiego mandaryna, lecz bynajmniej nie koralowej.

Na plantacyach budził się ruch coraz żywszy, jedni wracali zmęczeni, do domu, inni spieszyli do pracy, a wszyscy mieli na ustach jedno słowo: „Filoktet!..."

A jemu radość rozpierała serce do tego stopnia, iż obawiał się, by nie pękło, czuł, że jest dziś najpopularniejszą osobą w mieście i żałował, że nie jest kandydatem, a dziś nie jest dzień wyborów, wszyscy bowiem oddaliby niewątpliwie bez zastrzeżeń swe głosy nawet nieboszczykowi.

Nie mogąc się doczekać pojawienia się dalszych pism, powstał z ławki i ruszył w drogę, mrucząc pod nosem:

— A jednak ciekawa historya, skoro mnie samego tak zainteresowała!... Wystarczy jej na jeden jeszcze conajmniej numer.





Czytam te mądre wymyślania „Głosu Narodu" i „Kuryerka" z powodu „Bagateli". Jak można dla takiej bagateli psuć tyle papieru!



— Czem był ojciec pani?

— Był mężem mojej mamy, która jest wdową, a ja urodziłam się w dwa lata po śmierci ojca.



— Ty Klaudyo nie zrozumiesz nigdy języka miłości!...

— Bo też do miłości nie trzeba języka!



Ładna familia.

— Czego twoja mama taka kontenta dzisiaj?

— Bo udała jej się pyszna zemsta: Mój ojciec romansuje z pokojówką, wobec czego namówiła babkę, by uciekła z lokajem, który jest kochankiem naszej pokojówki



— Więc co ten monter robił w twojej garderobie?

Aktorka. — Przysięgam ci, że to było tylko krótkie spięcie!



— Sprzedałem hrabiemu obraz za 2000 mkp., a ty żądasz za pozowanie 3000!

— Bądź spokojnym, ja osobiście zainkasuję resztę u hrabiego!



— Dla ciebie Lolu popełniłbym największe głupstwo!

— A więc ożeń się ze mną!



— Co pani sądzisz o „Kobiecie, która zabiła"?

— Sądzę, że rozbiła resztki sensu w głowach redakcyi „Głosu Narodu".

Ferdek Eleuteryk.



Narzyko niejedyn, szczególnij z pomiendzy bezportkowców inteligientnych, że nima co w jadaczke prócz palca być wrażającym, a i to nie zawdy możno być czynioncym, jako że graba wraz z palicami używaną bywa także i do drapania sie w okolicy ofiryn, gdzie, jak wiadomo, mieści się fabryka trujoncych gazów i farb, któremi *Kuryer* maluje „obrazy na koszuli". Ale są i tacy, którzy, choć jenteligientnie pracujoncy, pamintajom tyż o tym, co powiedzioł Mędrzec Pański, że w „zdrowem ciele zdrowy duch" i nie opuszczajom żadnyj sposobności, ile razy jest sie nadarzajonco, aby słabe cielsko pokrzepić gratisowom wyżyrkom, połonczonom z chlapką, o co dziś nie trudno. Ale trza mieć szczęście, albowiem mało jest wybranych, którzy dopuszczeni bywajom do stołu pańskigo i, choć należą do mindzynorodu, zapominajom o swych najświntszych zasadach i wsuwajom jak pirszy lepszy burżuj, chcący sobie kantyne na cały tydzień wyfutrować.

W naszym mijskim prezydyjum tak sie klawo dobrało, że oberojciec, pon Jon Kanty, jest z przeproszyniem winiorz, z młodszejszych ojców jedyn robi w trunkowości spirytusowyj na Podgórzu, drugi jest dymokratyczne kiełbasy krenconcy, jest wienc czem gości być przyjmujoncym, a nie trza zapominać, że najmłodszejszy z ojców, pon Bobrowski, jest doktorem i może z pomocą kuždymu być śpieszoncym, kto byłby traconcy równowage żołondkowo-poletyczną.

Jeśli sie do tygo składu prezydyjum jest dodajoncym, że za kilka milionów odmalowalimy se Stary Tyjater, z którym wiążą sie także miłe wspomninia sławnych redut z tulipanami i innymi kwiatkami, jest tyż łatwym do zrozuminio dla kuždygo, makówe na karku majoncygo, że w odnowionyj lokalności trza być różne parady urzondzajoncym, bo najpiknijszo ubikacyo jest djabła wortajonco, gdy ij przyjdzie stać próżno.

I zwiedziały sie o tym głodomory z całygo świata, że po wojnie wylazło jak z pod ziemi w Krakowie nowe pokolinie dawnych Wierzynków i że możno se nad Wisłom klawo podjeść, a potym kichy przepłukać, oczywiście nie wodą, bo człowiek nie krowa, zjiżdżają tyż do nas z całygo świata, aby sie bliżej z nami zapoznać, a z tygo, kto mo szczynście, jest korzystajoncy, może se tyż bowim przy tyj sposobności klawo frygnąć, fest cycnonć i jeszcze do domu przyniść.

Spotkołem niedawno znajomego radcygo mijskigo, jak targoł pod pachą morową flache, a z kiszyni wyzirało mu kilka lumerów „Kuryjerka". Z ciekawości pytam go:

— A cóż radca mo w tym dupoliansie?... Pewnikiem jakaś trunkowość?...

— A tak!... — odpowiedział.

— To możeby my spróbowali?

— Dlaczego nie?... Ale nie wiem, czy to panu będzie smakować, bo to gorzko woda... Niese jom do domu, aby wypłukać z wnątrza poświncynie Starygo Tyjatru, z którygo tam jeszcze resztki zostały, a zrobić mijsce dla gdańskich szmaciarzy... Przyjiżdżajom do Krakowa i będzie znów można być jadaczke na kweste puszczajoncym. Nasłucho sie człek wprawdzie różnych ćmojów jakie se puskajom jedni drugim, ale zato poji sobie i cycnie fest, aby być gościom dopry przykład dajoncy, że i oni nie powinni być na żodne etykiety zważajoncy, ale wsuwajoncy ile sie zmieści. Bez te siedem lot wojny skazany był człek na dyjete i nieroz mu flakiem trzynsło, teroz, Bogu dzinki, jest już klawij, a prawie kuždy tydzień daje jakąś wyżyrunkowom okazyję. To ino bida, że kichy człekowi osłabły i trza je być gorzkom wodom przepłukujoncym, aby tak drogie dziś jadło i trunkowość nie poszły na marne...

Słyszy sie furt i czyto jajczynio, że sie u nos źle dzieje i że bida ludzi gniecie, ale to chyba nieprawda bo gdyby tak było, przyjmowalibyśmy gości ino gorącem sercem, a nie goroncymi obiadami i kolajami, cinżkie hopy kosztujoncymi. A z tygo taki prefit, że potym goście wieszajom na nos psy, iż nimo u nos nijakiej wygodności pod względem tych ubikacyi, które się oznaczo dwoma zerami, a za wypożyczenie do nich klucza płaciło sie dawnij pińć cyntów, za co staro babcia nazywała „panem hrabią" a teroz trzo być pinć marek buloncym i nie spotko sie nawet ze słowami wdzinczności.

Staropolsko gościnność obewateli rozszyrzonygo Krakowa znanom jest już w całym świecie, knajom tyż do nas z różnych stron świata goście, aby nam powiedzieć w oczy, że nos kochajom, że bez nos nie byłoby Europy, ale poza oczy śmiejom sie z nos, że sie na kawał jesteśmy brać dajoncy i nie umiemy sie poznać na farbowanych lisach. Ale trudno, inaczej być ni może, skoro Kraków jest stolicom. Choć niejednygo gniecie bida, bodaj w tym czasie, gdy przyjiżdżajom do nas goście, mo sposobność zapominania o nij i wyfutrowanio se kantyny na koszt miasta a własne niebezpieczeństwo, bo byłby głupi, gdyby nie wsuwoł, ile sie do skoro za to nic nie kożą płacić...



Recenzent „Głosu Narodu".

„Jam krynica Sztuki żywa
W mojem ręku to spoczywa
Los aktora i autora
Każde brawo, bis i fora!
Sztuka, gdy nieprzyzwoita
Niech ocenia jezuita
Pornografii bowiem jędza
Zmyka od widoku księdza"!
Bądź spokojnym panie hrabia!
Operetka księdza zwabia.
Księdza wabi jak pokusa
Baletnicy kiecka kusa,
Oceniając „sztukę" z wprawą
Aż się pieni bijąc brawo!
Gdy napieni się naślini,
Idzie do swej gospodyni.



„Bagatela" front swój zmienia.

Wyje psina klerykalna:
„Bagatela" niemoralna
To rozpusty jest siedlisko"!
Uspokój się dobre psisko!
Zamiast wziąść na ciebie kija,
„Bagatela" front swój zwija
A Dąbrowski rwąc swe włosy
Idzie biedak do Kanosy,
Będzie repertoar stary
Będą „Damy i huzary".
Płacz grzesznika niesie echo.
To jest Dąbrowskiego cechą,
Że się zawsze czegoś zlęknie
I poprawić chce się pięknie.
I dziś jest afera taka,
Że się zląkł księżego psiaka!





Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Słowo się rzekło, aeroplan w powietrzu, bo dziś to nie w modzie zabierać sie do kobyły.

Po pożegnaniu sie z Karolkiem, który pospieszył do kajuty małżeńskiej, aby wypróbować jakość i skuteczność przywiezionego przezemnie kawioru, usposabiającego, jak wiadomo do wzniosłych i szlachetnych czynów, ani się oglądnąłem, jak znalazłem się w Paryżu, na lotnisku w Lasku Bulońskim.

W Paryżu dowiedziałem sie, że tak marszałek Foch, jak i prezydent Briand, z którymi miałem jechać razem na kongres do Waszyngtonu, nie mogąc sie mnie doczekać, opuścili już ląd europejski. Nie pozostawało zatem nic innego, tylko pójść w ich ślady, oczywiście drogą powietrzną, aby nadrobić to opóźnienie, które było następstwem zboczeń z drogi cnoty i podróży. Spodziewałem sie, że Brianda uprzedzę w przybyciu do Ameryki i tak się też stało. Trudno sobie wyobrazić jego przyjemne zdziwienie, gdy w porcie nowojorskim powitałem go słowy naszego wspólnego przyjaciela, pana Benesza:

— *Pane Kolumbus!... Ja sem już tady!*

— A dyabli cię nadali! — zawołał, przyciskając mnie do serca — Skąd sie tu wziąłeś, kochany Klapa?... Spadłeś z powietrza?

— W samej rzeczy! — odpowiedziałem — Ale, broń Boże, nie sroce z pod ogona, lecz, wedle wszelkich prawideł lotnictwa, wylądowałem na amerykańskim kontynencie, witany owacyjnie przez ludność płci obojga, zwłaszcza zaś niewiasty, którym opędzić się nie mogę, tak dybią na mą cnotę.

— A ja, *mon chere*, byłem już w strachu o ciebie. Sądziłem, że może spotkał cię jakiś wypadek, skoro nie przybyłeś w oznaczonym czasie.

— Obawy nieuzasadnione!... Sam o siebie sie nie boję, wychodząc z założenia, że co ma wisieć, nie utonie...

Przed opuszczeniem Paryża nie omieszkałem oczywiście zaglądnąć do sali rozpraw sądowych, gdzie toczy się proces słynnego Landru, obecnie bohatera dnia. Zwłaszcza płeć nadobna, choć w jej szeregach takie poczynił wyłomy, darzy go swą sympatyą, w której nietrudno wyczuć wyrazy uznania i wdzięczności jednostek, że usunął im z drogi tyle współzawodniczek. Każda ze starych panien paryskich oblicza według liczby ofiar Sinobrodego, iż o tyle punktów poprawiły się jej szanse na giełdzie małżeńskiej.

Aby się Landru ucieszył, gdy mnie zobaczył na sali rozpraw, tego powiedzieć nie mogę, ma on bowiem stale minę bardzo zadowoloną i dobrym swym humorem nieraz już wyprowadził z równowagi, tak trybunał, jak i prokuratora. Widocznem jednak było, że obecność moja na sali przyjemnie nań oddziałała, a dał temu wyraz mówiąc do mnie, w chwili, gdy mnie mijał:

— *Bon jour, monsieur Klapa...* Wybieram się do Krakowa zaraz po ukończeniu mego procesu, słyszałem bowiem, że bardzo gościnnie przyjmujecie obcych. Przy tej sposobności nawiążę jakieś stosunki z waszą płcią piękną, nie straciłem bowiem dotąd nadziei, że znajdę przecież jednostke rodzaju żeńskiego, która odpowie mym wymaganiom... Gdybyś pan wiedział o podobnym osobniku, bądź łaskaw poinformować mnie... Uroda i wiek, to głupstwo, grunt moneta i to we frankach, nie w markach... Resztę zostaw mnie, już ja się z tem załatwię...

I w Nowym Jorku nie popasałem długo, obowiązki bowiem wołały mnie do Waszyngtonu, gdzie występowałem oficyalnie jako delegat krakowskiego króla kurkowego, nie zabierając jednak głosu, ponieważ na porządku dziennym była jedynie sprawa rozbrojeń morskich, a moi mocodawcy z morzem nic wspólnego nie mają, choć jak się dowiaduję obecnie, morska choroba ma się podobno pojawiać w Krakowie aż

nazbyt często, co doprowadza pana fizyka miejskiego do rozpaczy. Tę nową epidemię tłómaczą zmianą nachylenia osi ziemskiej, i w tej sprawie ma być w Sejmie warszawskim wniesiona w najbliższym czasie interpelacya z żądaniem wytłómaczenia ze strony Urzędu Obrotu Ziemią, mającego w Warszawie swą główną siedzibę.

Po przybyciu na miejsce, a było to wczesnym rankiem, udałem się natychmiast do Białego Domu. Przechodząc koło pomnika Waszyngtona, usłyszałem głos:

— Serwus, Klapa!... A czy Lloyd George przyjechał?

Pewny, że to mówi do mnie Waszyngton, ucieszyłem się ogromnie, nie wiedziałem bowiem dotąd, iż on mnie zna. Przekonałem się jednak, że byłem w błędzie, nie był to bowiem głos Waszyngtona, lecz prezydenta Hardinga, który, czując dwałtowną potrzebę wyjścia na świeże powietrze, opuścił dziś wcześniej swą sypialnię i podlewał właśnie kwiatki z drugiej strony gazonu. Przywitaliśmy się bardzo czule i rozpoczęliśmy pogawędkę przyjacielską, która trwała aż do chwili otwarcia pierwszego posiedzenia kongresu, zagajonego, jak wiadomo, orędziem prezydenta.

Po odczytaniu takowego kiwnął na mnie Harding, dając w ten sposób do poznania, że nie mamy tutaj co robić, bo oni i bez nas dadzą sobie radę, nie usłuchałem jednak wezwania i zostałem, głównie z tego powodu, że między członkami kongresu spostrzegłem wiele członków żeńskich i byłem ogromnie ciekawy, jakie też one zajmą stanowisko wobec kwestyi rozbrojenia. Patrzyłem na wszystko własnemi oczyma i słyszałem na własne uszy, informacye moje są zatem zupełnie autentyczne i dlatego różnią się od sprawozdań niektórych pism codziennych, których „własni korespondenci" nie wystawiali tymczasem nosa, ani żadnego innego organu cielesnego poza miejskie rogatki.

Przedewszystkiem zatem w obradach kongresu wzięła udział bardzo pokaźna liczba przedstawicielek płci, tak zwanej, nadobnej i to najżarliwsze bojowniczki o prawa kobiet z panią Pankhurst na czele. Widzieliśmy między niemi także i delegatki z Krakowa, odłam neutralny (polityczne, nie płciowo!...) był również licznie reprezentowany.

Gdy, po zagajeniu przez Hardinga, chciał Hughes zabrać głos, wpadła mu w słowo pani Pankhurst:

— Szanowne zgromadzenie wybaczy, że zabieram głos bez proszenia o niego, ale to już taki mój zwyczaj. Czy zastanowiliście się nad tem, że, o ile wchodzą w grę sprawy rozbrojenia, decydujące słowo powinniśmy mieć my, które światu dostarczamy kontyngentu rekruta? Mężczyzna choćby się na głowie postawił, sam w tym kierunku nie poradzi...

— A i baba bez chłopa nie da rady!... — mruknął któryś z członków kongresu — Biblia mówi wyraźnie, że: Abraham zrodził Izaaka, Izaak Jakuba i t. d. o babach nic nie wspominając. Kto wie, czy coś podobnego nie mogłoby się teraz powtórzyć...

— Spróbuj pan!... — wrzasnęła panna Hopkins — ładnie byś pan wyglądał...

— Moi państwo, nie przeszkadzajcie mi — prosiła pani Pankhurst. — Pozwólcie mi się wygadać, bo ja bez tego żyć nie mogę... Czy może zresztą mieć kto słuszniejsze prawo do zabierania głosu w sprawach ogół obchodzących, od nas, kobiet, które dajemy życie obywatelom państwa...

— Święte słowa!... — potakiwała panna Hopkins.

— A iluż to obywatelom dała pani życie? — zapytał Hughes, uśmiechając się, a gdy zainterpelowana, zamiast odpowiedzi, skromnie spuściła oczy, dodał:

— A widzi pani!... Siedź pani zatem cicho!...

— Na Rany Boskie!... — lamentowała pani Pankhurst. — Ja się wścieknę, nie mogąc wyrzucić ze siebie tego, co się we mnie zebrało, ot tu!... — i wskazała na okolicę brzucha, oczywiście w pośpiechu, miała bowiem na myśli piersi.

— Może służyć kluczem?... Drugie drzwi na prawo w korytarzu, oznaczone dwoma zerami... — zrobił ktoś uwagę.

— Litości nademną!... — ciągnęła pani Pankhurst. — Bóle porodowe, których panowie nie znacie, dają nam pewne prawo do równouprawnienia.

— Głupstwo!... — przerwał Hughes. — Co to jest w porównaniu z moimi hemoroidami, których nabawiłem się w służbie dla dobra państwa... Że poród nic przyjemnego, w to nie wątpię, choć tego dotąd nigdy nie przechodziłem... Ale to rzecz chwilowa!... Po trzech kwartałach ma się spokój, poza tem przeleście w ten stan, tak opłakiwany przez mówczynię, nie jest pozbawione i przyjemności...

— O, tak!... — wyrwało się wraz z cichem westchnieniem z ust neutralnej panny Perlmutter.

— Ja, moi państwo — mówił dalej Hughes — nie chwalę się, ale na hemoroidy cierpię już od lat trzydziestu i ani rusz się ich pozbyć... A gdybyście panie wiedziały, jak to boli... — i mimowoli syknął i zacisnął zęby.

A pani Pankhurst, nic sobie z tego nie robiąc, że jej wciąż przerywają, wygłaszała swą mowę na temat dobrodziejstw, świadczonych przez kobiety społeczeństwu, któremu dają bez względu na porę, na lądzie, wodzie i w powietrzu kontyngent rekruta, a w zamian za to żądają, by mogły się bodaj wygadać porządnie w publicznem miejscu, zatem w sejmie, parlamencie itd.

Co z tego wynikło i jak się cała historya skończyła, o tem w następnym liście, gdyż wysechł mi atrament, a prezydent Harding czeka na mnie ze śniadaniem.

Shake hand! *Klapa.*

Ze scen małżeńskich.

Pani Stefa spodziewała się, że mąż jej zabawi całą noc w klubie, zaprosiła też do siebie przyjaciela, pana Leona, by jej się nie nudziło.

Niestety, zaraz po północy zjawił się małżonek, a zastawszy nieproszonego gościa w swem własnem łóżku, chwycił za rewolwer, by go zastrzelić.

— Żona pada przed nim na kolana:

— Mężu! Daruj mu życie! Nie rób skandalu! Pobudzisz sąsiadów!

A on na to:

— Nie! Muszę zabić tego niegodziwca!...

— Dobrze! — błaga dalej biedna kobieta — ale nie teraz... zostaw to do następnego razu!

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krzeczewski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalczyka.



Chłopczyki giną!